

komuś, iż słyszy ich miarowe kroki.

Zdecydowanie inaczej jest w przypadku polnej drogi, żwirowo-piaskowej, wijącej się pomiędzy jeziorami i pagórkami, a niekiedy wspinającej się na wzniesienia. Nie wiadomo od kiedy istniejącej. W jej przypadku nie sposób w ogóle mówić, że została wytyczona, a tym bardziej, kiedy została zbudowana. Można, co najwyżej, snuć przypuszczenia (nie dochodząc zresztą do żadnych ustaleń), kiedy zaczęto wydeptywać ścieżkę, która później przestała nią być, gdy pojawiły się na niej pojazdy konne.

Faktem jest też, że historia pisana przez „H” rzadko, a może nawet bardzo rzadko korzystała z takich dróg. Zdecydowanie wolała szerokie trakty, nawet jeśli były piaszczyste. Odegrały one, chociażby, istotną rolę w marszu na Moskwę Wielkiej Armii. Jak również w jej odrodcie stamtąd. Z tym, że wówczas pokrywał je już śnieg i lód.

Wielu ludziom wydaje się, iż droga polna, zwłaszcza taka zapomniana przez Boga i ludzi, nie skrywa w sobie żadnej dramaturgii. Zwłaszcza jeśli porówna się ją z wspomnianą drogą rzymską. Nie mówiąc już o jakiejś średniowiecznej warowni. I to nawet takiej znajdującej się w kompletnej ruinie. Otóż jest to pozorny brak wynikający z niechęci do wysilenia wyobraźni. To fakt, że trudno jest w tym wypadku o swoiste podpowiedzi, jakimi są sceny zapamiętane z lektur książek, a obecnie częściej, z oglądniętych filmów, których akcja rozgrywa się np. w epoce wypraw krzyżowych. Drogi stanowią bowiem w nich mało istotny element.

Zdarzenia rozgrywane się z dala od zamków, pośród pól, niewątpliwie były mniej spektakularne. Pozornie nic na nich się nie działo! Ale tylko pozornie, na pierwszy rzut oka... Trzeba bowiem puścić wodze fantazji.

Rzeczą niezmiernie interesującą, według mnie, jest to, iż na owych drogach zapomnianych, można obserwować... wolno płynący czas. I można to czynić zarówno wtedy, kiedy nie widać na nich, nie tylko człowieka, ale też żadnego zwierzęcia, jak też wtedy, gdy dostrzeże się jedynie wędrowca siedzącego na przydrożnym kamieniu, a znacznie dalej, sarnę skubiącą trawę na poboczu.

Czas gwałtownie przyspieszy, gwałtownie w porównaniu ze stanem początkowym, kiedy ów człowiek powstanie i zacznie otrząpywać fragment spodni, na którym siedział. Widok zaś wyprostowanej sylwetki ludzkiej, spowoduje nieśpieszne oddalenie się sarny.

Przykładem drogi, o której mowa jest w tytule, może być ta prowadząca od Pokrowska, przysiółka wsi Karolin, w głąb Bobrowego Bagna (najczęściej zwanego, po prostu, Bobrami). Na prawie całej swej długości jest ona gruntowa, żwirowo-piaskowa. Mniej więcej do połowy swej długości, jest ona takiej szerokości, iż mogą minąć się (muszą to jednak uczynić bardzo ostrożnie) dwa wozy konne, albo samochody osobowe. Potem zwęża się jednak zdecydowanie. Początkowy odcinek nie jest porośnięty wieloma roślinami. Potem jednak pojawia się coraz więcej traw. Zaś kiedy droga wkracza na teren podmokły, trawa ustępuje miejsca kobiercowi mchów torfowców. Dotąd

jej przebieg wyznaczały dwie koleiny odcisnięte w gruncie. Odtąd zaś – także koleiny, ale już ledwie widoczne w owej grubej warstwie torfowców.

Ta droga, i jest to coś bardzo szczególnego, urywa się nagle. Jakby pojazdy dotarły do konkretnego miejsca, wracały po własnych śladach, albo... zapadały się, nikiły w bagnie. Droga zaś nie biegnie dalej, gdyż jest to środek Bobrów. Świadczy o tym, chociażby, to, że przy naciśnięciu warstwy mchów np. rozwarłą dłonią, utworzone w ten sposób wklęsnięcie natychmiast wypełnia się wodą. Wobec powyższego z końcowego odcinka tej drogi korzysta wyjątkowo niewielu ludzi: myśliwych, grzybiarzy, a przede wszystkim zbieraczy żurawin. Jeszcze mniej porusza się nią zaś pojazdów, zarówno jedno – jak i dwusładowych.

Dla przykładu wspomnę jeszcze o drodze biegnącej przez zachodni fragment Wzgórz Strzelińskich. A na pewnym odcinku – skrajem porastającego go lasu. Tak, że ktoś idący od południa, po prawej swej ręce będzie miał grabowo-sosnowo-dębowy las, a po lewej – rozległy widok na Kotlinę Henrykowską. Z tym, że ten widok, skądinąd piękny, będzie nieco ograniczony przez stare kasztanowce zwyczajne. Obecność tych drzew, jakby nie było ozdobnych, jest znamienna. To, iż rosną one właśnie tam, jak i równe odstępy między nimi, wskazują jednoznacznie na celowe działanie; na chęć odróżnienia tej drogi od innych, jak również jej odrobienia.

Sama zaś droga jest kamienista. I poza nielicznymi piechurami i rowerzystami, praktycznie nikt więcej z niej obecnie nie korzysta. No może jeszcze jedynie, ale to rzadko, używa się jej do wywózki drewna.

Wrocław, wiosna 2010



Pociąg do Warszawy

Od dawna chciałem podzielić się z większym audytorium, a nie tylko w wąskim kręgu osób podobnie myślących zwolenników, refleksjami na temat tego, co od wielu już lat głęboko mnie nurtuje. A mianowicie, jakie były przyczyny tak skomplikowanych, niezwykle skomplikowanych do niedawna (w sensie historycznym) stosunków między dwoma bratnimi narodami: polskim i ukraińskim. Nie miałem też żadnych problemów z wyborem tytułu niniejszego eseju, bowiem już od dawna – szczególnie gdy jestem w dobrym humorze – chodzą mi po głowie słowa melancholijnej pieśni do słów Liny Kostenko: „Pociąg z Warszawy przejeżdża przez moje serce...”. Być może jest to jedyna ukraińskojęzyczna piosenka w różnorodnym repertuarze znanej piosenkarki Edyty Picchy, którą kapryśny los rzucił do Rosji. Słowo „rzucił” jest najbardziej odpowiednio do opisanego tego, co stało się z młodą

studentką z Polski. Być może właśnie dlatego tak szczerze i autentycznie wspomniana piosenka zabrzmiała w jej wykonaniu. Na dodatek ukraińskie słowo „pociąg” (pociąg) ma, podobnie jak w języku polskim, jeszcze i inne znaczenia: namiętność, skłonność, upodobanie i in. Osobiście dla mnie ten mój „pociąg”, we wszystkich tego słowa znaczeniach, jedzie w przeciwnym kierunku do Warszawy.

Ta moja podróż rozpoczęła się jeszcze w czasach, kiedy byłem studentem i uczyłem się w Dniepropietrowskim Instytucie Budowlanym. Było to na przełomie lat 50. i 60. (niestety, już ubiegłego wieku). Daleko odjechał ten mój pociąg od Dniepru w kierunku Wisły...

W tamtych czasach biblioteka Pałacu Studentów, w której każdego tygodnia odbywały się zebrania kółka literackiego (to tutaj właśnie przynosiłem swoje pierwsze wiersze), prętemerowała wówczas dość interesujące czasopisma wydawane w ówczesnym PRL-u: „Widnokręgi”, „Przekrój”, „Szpilki”, jakieś kolorowe pisma o filmie i sztuce, a nawet gazetę „Życie Warszawy”. Pierwsze próby czytania po polsku uświadomiły mi, że języki polski i ukraiński są nie tylko bardzo podobne do siebie, ale także i to, że wszystko przeczytane rozumiem. Było to dla mnie bardzo przyjemne zaskoczenie, tym bardziej, że „ojcowski”, ukraiński język zacząłem „szlifować” na zaledwie kilka lat przed tym, jak moja rodzina przyjechała na Ukrainę z rosyjskiej peryferii. A tam, jak wiadomo, w rosyjskiej, wiejskiej szkółce nikt nie uczył się języka ukraińskiego. Za to w domu czytałem książki po ukraińsku, bo mieliśmy wiele woluminów w tym języku. Co zaś tyczy się pokrewieństwa języka ukraińskiego i innych słowiańskich języków – to na ten temat napiszę innym razem. Teraz natomiast wracam do mojego pociągu do Warszawy...

Tak więc na początku były kolorowe okładki polskich czasopism, następnie świadomy „pociąg” do bardziej intensywnego czytania, który był wciąż od nowa pobudzany przez coraz to szerszą informację na temat życia w bratniej krainie. Zadziwiała i niezwykle pociągała mnie – ówczesnego ucznia „komсомolsko-pionierskiej szkoły – to, że wiele tzw. kwestii życiowych, socjalnych i bytowych na łamach tych pism rozpatrywano w sposób bardziej otwarty i nieskrępowany w porównaniu z tym, jak w takich wypadkach czyniła to prasa radziecka. W artykułach było znacznie mniej propagandy i nie wyczuwało się wrogosci w stosunku do Kościoła.

Pociąg do polskiej prasy spowodował zainteresowanie polską literaturą, którą uparcie czytałem w języku oryginału. A czytałem bardzo wiele i były to różne gatunki literackie: od poezji Juliana Przybosia do „mocnych” detektywów, wydawanych w serii „Klub Srebrnego Klucza”, „Labirynt” itp. W czasie wizyt w Kijowie obowiązkowo zaglądałem do księgarni „Drużba” na Chreszczatyku, której, niestety, już nie ma. Można tam było znaleźć duży wybór książek (o wiele większy niż w Dniepropietrowsku), które były wydane w różnych językach, a dostarczano je z krajów ówczesnego Układu Warszawskiego.

(Dokończenie na stronie 11)